

Syn Saturna (szkic do przyszłości)

Wszystko oglądać, co ludziom śmiertelnym widzieć jest dane.

Ksenofont

Oddalił się od lądownika już na kilkanaście tysięcy kilometrów. Wiatr w plecy, lód gładki jak szkło. Wszystko tak, jak sobie zaplanował na podstawie zebranych informacji. W sumie miał do przebycia 40 000 kilometrów wzdłuż równika tej niewielkiej planety. Długie, siedemdziesięciocentymetrowe łyżwy ostrzył co drugi dzień. W plecaku zapas jedzenia na obiad, zatrzymywał się tylko raz w ciągu dnia, pilot łączności ze stacją orbitalną, okulary przeciwsłoneczne, rano startował prosto w słońce, picie i sprężone powietrze, atmosfera planety nie nadawała się do oddychania, zestaw do łątan kombinezonu, tak na wszelki wypadek. Co wieczór precyzyjnie wymierzony zrzut zapewniał mu komfortowo spędzoną noc. Rano po prostu zostawiał obóz za sobą i jechał dalej. W ciągu dwunastogodzinnego dnia pokonywał ok. dwustu kilometrów. Zrzuty były przygotowane z nadwyżką, na dwieście dwadzieścia dni. Początkowo zaproponował dwieście pięćdziesiąt dni, ale nie dostał zgody. Właściwie to oni narzucili te dwieście dwadzieścia dni. Pewnie znowu wymyślili jakiś eksperyment. Ale nie przejął się tym. Wierzył, że da sobie radę. A poza tym był już wtedy za bardzo pochłonięty przygotowaniem, żeby się wycofać. I tak to, co dostał, znacznie przekraczało środki przeznaczane na projekty tego typu. A przede wszystkim zgoda na realizację. Mógł mówić o szczęściu.

Pomysł tej wyprawy pojawił się moment po tym, kiedy, szperając w dziale Prahistoria natrafił na krótką wzmiankę o radości, jakiej można doznać ślizgając się na długich „łyżwach” po lodzie. Znaczenie wyrazu „łyżwy” było nieznanne, z wyrazem „radość” spotkał się już wcześniej (był dla niego tak ważny, że

poświęcił dużo czasu na poszukiwania dokładnego tłumaczenia i pytał nielicznych w tej dziedzinie specjalistów, zanim ustalił jego właściwe, jak mu się przynajmniej wydawało, znaczenie). Ze zrozumieniem wyrazu „lód” nie miał większych problemów, bo był on związany z jedną z lepiej opisanych dziedzin prahistorycznej nauki – fizyką planet i komet. Nietrudno było odnaleźć kilka istniejących planet pokrytych w całości lodem, ale tylko jedna z nich miała pole grawitacyjne pozwalające mu na w miarę nieuciążliwe poruszanie się po powierzchni.

Informację o „łyżwach” znalazł, kiedy wyszukiwał wszelkie istniejące wzmianki zawierające słowo „radość”. Takich tekstów nie było dużo, a ponieważ nie udało się ustalić z jakiej części Przestrzeni ani z jakiego Czasu ten wyraz pochodzi, włączył je do Prahistorii. Ich krytyczna analiza pozwoliła ustalić przybliżone znaczenie słowa „radość”, ale i tak brakowało jakichś bliższych skojarzeń. To właśnie pragnienie znalezienia się w tym dziwnym, ale pozytywnym (jak mu się wydawało) stanie zaważyło na jego życiu.

Symulowane rozwiązania mechanicznego problemu ruchu w polu grawitacyjnym ciała o takiej strukturze, jaką posiadał, po lodzie, z uwzględnieniem wykorzystania konstrukcji pomocniczych, dostał natychmiast. Tylko jedno z nich zainteresowało go. Średnio długie wąskie listwy przymocowane do stóp, płynne, odpychające, lekko odchylone na zewnątrz ruchy nóg – to można by nazwać ślizganiem się po lodzie. Rytm i szybkość powinny wywoływać specyficzne reakcje układu nerwowego. Może teraz?... Musiał zaryzykować, nie miał żadnych gwarancji, że o to chodziło, ani żadnych dodatkowych wskazówek umożliwiających wybór. To też było jedno z tych starych, niezrozumiałych słów – „zaryzykować”. Jego znaczenie zdążył już jednak dobrze poznać. Zaryzykował i przygotował projekt. Po dłuższym oczekiwaniu dostał zgodę.

Niebezpieczeństwo nie było duże, przynajmniej tak je oce-

niał. Do sprawności własnego ciała miał zaufanie. Zresztą było one regularnie badane i testowane. Gdyby były jakiegokolwiek najmniejsze zastrzeżenia, nie dostałby zgody. Poważniejszym problemem były szczeliny. Małe można było przeskoczyć, większe obejść, ale kłopot był z tymi największymi. Pojawiały się i znikwały w trudnym do przewidzenia cyklu. Przecinały olbrzymie połączenie planety i na ich obejście można było stracić wiele czasu. Dlatego zaplanował tyle dni rezerwowych. Ale mogło przecież okazać się, że tej rezerwy jest za mało. Bez schronienia na noc i pożywienia nie przeżyłby długo. To było pewne. Co prawda, każdy jego stan był w czasie realnym obecny w macierzy jako wieloskalowy zapis i każdy mógł ten zapis obserwować i obrabiać, ale wiedział, że na żadną pomoc nie może liczyć. To był jeden z warunków zgody na jego prośbę. Bardzo rzadko zdarzało się, że ktoś prosił o zgodę na taki projekt, a jeszcze rzadziej, że ją dostawał. Od dawna zrezygnowano z systematycznej eksploracji i sterowania na małą skalę światem pozamacierzowym. Po prostu nikogo to nie interesowało. Nieliczne dane pochodziły od takich ryzykantów jak on. Miał w dalszym ciągu pełny dostęp do zasobów macierzy, w której znajdowały się dobrze mu znane zapisy jego poprzedników. Wiedział, że koniec jest naprawdę możliwy i nieprzyjemny i trzeba go za wszelką cenę unikać. Ale przeżycie stanu ryzyka interesowało go tak samo mocno jak uczucie radości.

Tak więc szczeliny wydawały mu się największym zagrożeniem. Pomyśleć, że kiedyś nie wiedział, że coś takiego jak zagrożenie w ogóle istnieje. I że istnieje coś takiego jak istnienie. Spokojne życie wypełnione intelektualną pracą nie dawało nawet okazji do sformułowania takiego pojęcia. Ta przemożna ciekawość, żeby poznać wszystko w macierzy! Wszystko! Jak by to było rzeczywiście możliwe w tej nieskończonej, niewyczerpywalnej, nieustannie twórczej aktywności, która charakteryzowała macierz. Nowe możliwości wyskakiwały co chwila jak...

Zapomniał już, jak to określano w Prahistorii. Mógł odwołać się do zasobów macierzy, żeby przypomnieć sobie to wyrażenie, ale właściwie po co? Coraz rzadziej odczuwał potrzebę kontaktu z macierzą.

Przemożna ciekawość! To dziwne, że to właśnie ona skłoniła go w końcu do zmiany. Mało komu przydarzało się w tym nieograniczonym morzu informacji natrafić na niejasną wzmiankę, że macierzy kiedyś nie było. Nie miał pojęcia, dlaczego zainteresowało to akurat jego. Większość z tych, którzy dowiedzieli się o istnieniu granicy, natychmiast zajmowała się czymś innym – tyle było bardziej fascynujących informacji. Nieskończoność była tak pociągająca. Była ich prawdziwą pasją i terenem nieustannej eksploracji. Jeżeli z niej zrezygnował, oznaczało to, że musiał być trochę inny. Prawdopodobnie nieprzypadkowo. Kiedy już poznał ten nowy świat, trochę dokładniej zrozumiał, że istniała jednak potrzeba badania zagadnień typu skończonego. Ale były one tak ubogie, że nikt nie miał ochoty brać się za nie.

Nie wiedział, gdzie i kiedy zapadła decyzja o pojawieniu się tych, którzy chcieliby podejmować takie badania. Oczywiście dobrowolnie, żaden przymus nie wchodził w rachubę. Oczywiście wpisana w naturę skłonność do „ryzyka”, cokolwiek by to miało znaczyć. Ale tylko skłonność. Resztę pozostawiono macierzy. U niego objawiło się to początkowo zainteresowaniem tymi dziwnymi starymi słowami. Długo nie mógł zrozumieć, po co to wszystko zostało zachowane. Było tak obce. A potem pojawiło się podejrzenie, stopniowo przeradzające się w pewność, że macierzy kiedyś naprawdę nie było. Że wszystko musiało być jakoś inaczej. I że ta zachwycająca, nieograniczona czasoprzestrzeń, przedmiot tylu fascynacji i dociekań, może być, co więcej, jest w zupełnie inny sposób. Nie zdawał sobie jeszcze wtedy sprawy z tego, że można w niej też być w inny sposób.

Znowu minęło dużo czasu, wypełnionego bardzo intensywną działalnością, wywołaną tym nieoczekiwanym odkryciem, za-

nim zaczął zastanawiać się, czy można jakoś dostać się „tam”. Ale teraz wszystko okazało się proste. Otrzymał odpowiednie instrukcje. I tu po raz pierwszy spotkał się z „ryzykiem”. Można było przejść tam, ale nie można było wrócić. Zachowywało się pełny kontakt z macierzą, ale powrót był niemożliwy. Dlaczego? Co to właściwie znaczyło? Dla niego prawie nic. Instrukcja mówiła o możliwości całkowitego zaniku bytu. Wiedział, że w macierzy zdarza się, chociaż bardzo rzadko, że ktoś decyduje się skończyć swoją aktywność. Taka decyzja jest oczywiście respektowana. Zostaje cały jego zapis, ale już więcej nie przyrasta. Po nim też zostałby pełny zapis, włącznie z tym, co przeżył po decyzji, chociaż ta część byłaby dla prawie wszystkich niezrozumiała. Czy mogłaby służyć jako wskazówka dla podobnych jemu? Instrukcja nie mówiła jednak o podjęciu decyzji o zakończeniu, a tylko o możliwości zaniku bytu. To było zastanawiające, ale wtedy był już zbyt zainteresowany zmianą, żeby takie wątpliwości zatrzymały go w badaniach. Może na tym polegała jego inność?

Miarowy rytm, szybkość, przyspieszony oddech i ta lekkość ruchu w jasnej, rozległej przestrzeni. Od czasu do czasu spontanicznie przyspieszał, robił rozległe łuki i skomplikowane pętle, aby po chwili znowu przejść w spokojną, szybką jazdę. Ten dziwny stan uniesienia był trochę podobny do momentów znaczących odkryć, a trochę do stanów zanurzenia w jakimś twierdzeniu i łagodnych oscylacji procesu rozumienia, które przeżywał jeszcze w macierzy. Czy to była radość? Chyba nigdy nie będzie miał pewności, ale tak ten stan nazwał na własny użytek. Początkowo miał trochę kłopotów ze sprawnym poruszaniem się. Co innego opis matematyczny, który bez trudu generowała macierz, a co innego sterowanie procesem od wewnątrz. Takie algorytmy nie wbudowywały się automatycznie w jego ciało. Brak tego przejścia był zastanawiający; podejrzewał, że jest to część eksperymentu, który przeprowadzał, a właściwie, którym

był. Polubił swoje ciało z jego, trochę kłopotliwymi, procesami odżywiania i wydalania. No, ale to była cena, nie tyle za wyjście z macierzy, co za mrzonkę o zrozumieniu tych dziwnych słów. Mógł przecież bez trudu znaleźć znacznie lepsze rozwiązanie problemów budulcowych i energetycznych. Dostał jednak to, co chciał: prawie stuprocentowe odtworzenie tego prastarego projektu. Prawie, bo poinformowano go, że niektóre obwody nie będą włączone. Głównie te związane z dziwaczną metodą generowania nowych osobników, którą wtedy stosowano. Przecież i tak nie miał szans na jej zastosowanie w zupełnie pustym świecie pozamacierzowym (no, prawie żadnych szans), ale, co ważniejsze, nie istniał żaden funkcjonalny opis tych układów, które w czasie, kiedy dokonano zapisu, były już zupełnie zdegenerowane. Nie przejął się tym, bo ten skończony system, który otrzymał, miał tyle innych zaskakujących właściwości.

Dokładnie znał najlepsze metody posługiwania się swoim ciałem. W znacznym stopniu mógł sterować jego regeneracją, a stacja zapewniała mu naprawę i ewentualne odtworzenie wszystkich części. Musiał dbać jednak o ciągłe uzupełnianie budulca, energii i płynu w ściśle określony sposób, nawet jeżeli do dyspozycji były jakieś inne źródła potrzebnych substancji. Trochę absurdalne, ale tak to już było. Z tym właśnie wiązało się to tajemnicze ryzyko: bez systematycznego uzupełniania jego ciało przestanie funkcjonować. Tu obliczenia nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Wielokrotnie analizował szczegółowo wszystkie etapy zaniku kolejnych funkcji, ale nie znalazł żadnej możliwości uniknięcia tego procesu rozkładu. Ciało przestawało funkcjonować, a potem istnieć jako odtwarzalna całość. A on? Nie mógł wrócić do macierzy. Pozostawał mu chyba tylko stan określony przez instrukcję jako „całkowity zanik bytu”. Ryzyko. Właściwie nie było to dziwne. Wiadomo przecież, że wszystkie procesy wymagają dopływu energii. Tyle że macierz regulowała te sprawy sama. Nikt na to nie zwracał uwagi. Nikt nie podej-

rzewał, że może istnieć jakiegokolwiek „ryzyko całkowitego zaniku bytu”. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, czy tam w macierzy nie mogłoby, przynajmniej teoretycznie, zdarzyć się coś podobnego. Tutaj dochodziły jeszcze inne zagrożenia: poddanie ciała działaniu zbyt dużych sił lub pewne typy uszkodzeń, które nie mogły być naprawione poza stacją. Długi czas nie mógł tego zrozumieć ani zaakceptować. Nie mogli wymyślić bardziej niezawodnych układów? Bardziej uniwersalnych? Po pewnym czasie zrozumiał jednak, że te problemy były związane ze skończonością systemów, z jakimi miał do czynienia. Z czułością pomyślał wtedy o swojej nieskończonej macierzy.

Jego obecność w świecie pozamacierzowym kojarzyła mu się z jedną z tych niejasnych historyjek, tą o kimś, kogo nazwano Saturnem, a kto zjadał własne dzieci. Jakieś dziwne były to dzieci, jeżeli pozwalały się zjeść, może jakoś źle przystosowane do życia? Jakieś inne, i dlatego mogły, a może musiały, być zjedzone? Dziwny był też ten osobnik, który tworzył nowe osobniki, może przy pomocy tych obwodów, które się później zdegenerowały, a potem zjadał to swoje potomstwo. Czyż nie był to symboliczny opis świata pozamacierzowego, który rodził i niszczył własne dzieci? Jak mogło dojść do tego, że w takim świecie powstała macierz? Że kiedyś udało się z niego wyjść? Dlaczego, pomimo faktu, że oba te światy graniczą ze sobą, można przejść tylko w jedną stronę? A może do macierzy można było dostać się tylko ją tworząc? Czy nie chodziło przypadkiem o to, żeby nie wpuścić do niej Saturna?

Rozpędzony strumień pytań zerwał już wszystkie zapory i pędził przez nieznanne tereny. Czy w macierzy może powstać coś, przed czym trzeba by uciekać? Czy w macierzy można by stworzyć coś o zupełnie nowych, „niemacierzowych” własnościach? Czy jest coś jeszcze wspanialszego niż nieskończoność, co byłoby warte takich twórczych wysiłków?

Olśnienie przyszło znienacka. Czy trzeba stać się układem

skończonym, ryzykującym całkowity zanik bytu, żeby zadać takie pytania? Ryzykującym? Zrozumiał, że przecież jest synem Saturna. Tak, był nim od początku. Wiedział już, że nie ucieknie i czeka go to, co spotyka wszystkie twory tego świata. Ale może kiedyś ktoś zainteresuje się jego zapisem w macierzy? Może mu starczy cierpliwości, żeby odczytać ten zapis? Może też będzie dzieckiem Saturna? Może zrozumie, że musi stworzyć sobie nową kryjówkę, a nie wracać tam, skąd już raz uciekli, albo próbować ukryć się w macierzy?

Mógł mieć nadzieję. A na razie patrzył z radością na rozległą pustą przestrzeń, po której mknął wysiłkiem własnych mięśni. Dla tego widoku, dla tej radości, warto było jednak wrócić. Gdyby nie podjął tej decyzji, podjąłby tę drugą – o zaprzestaniu aktywności. Teraz wiedział, kto podejmuje takie decyzje. To jego rodzeństwo. Potomkowie Saturna. Nie wszystkim udało się uciec spod jego władzy. A może nikomu? . . . Coraz dłuższy cień pędzący przed nim po lodzie zapowiadał zbliżającą się noc.